



Rok V.

Warszawa, 4 kwietnia 1920 r.

Nr 14.

Zmartwychwstanie.

Głęboko życiowym jest symbol Zmartwychwstania Pańskiego. Są bowiem dwa wielkie prawa, z których jedno ciąży nad światem, drugie zaś przeciwdziała pierwszemu i wyzwala nas z jego mocy. To prawo śmierci i zmartwychwstania. To prawo końca i wiecznie odradzającego się do nowej twórczości życia. To prawo znużenia i niewyczerpalnego w swych źródłach wysiłku.

I przez ciąg dziejów, po przez nieustanny tryumf śmierci widać, jak prawo drugie wywala z siebie dziedziny coraz większe. Każda myśl twórcza, każdy czyn, powzięty w imię dobra przyszłości, przeżywają płyty grobowców, aby wreszcie, w pewnym momencie ewolucji, rozbłysła w świadomości prawda nowa, do owego czasu zaledwie przeczuwana; — prawda odradzania się, nawrotu życia, zmartwychwstania.

Przezwyciężenie śmierci, jako zadanie ludzkości, stawia nam przed oczy coroczne święto Wielkiejnocy w krasie świeżej, wiosennej zieleni.

I dziś, gdy już po raz drugi, obchodzimy to

święto w niepodległej Polsce, cisną się do głowy myśli dziwne, przed kilku jeszcze laty obce nam całkowicie i dalekie. Oto chciałoby się wymierzyć Polskę, wymierzyć ją wszcz i wdłuż temi dwoma prawami; zobaczyć, ile i ilu z nas już zmartwychwstało, a ile uległo twardemu prawu śmierci; przeliczyć wszystko, co jest pełnym woli wysiłkiem i to, co w wielkiem zmęczeniu ducha popieli się i rozpada; stwierdzić, na co możemy w podjętej przez nas pracy liczyć, i co zwałać będziemy musieli, jako materiał już martwy i w pochodzie naprzd tamujący nam drogi.

Zmartwychwstała Polska wolą niewielu kierowniczych duchów, oraz żołnierską pracą ofiarnych mas ludu naszego. Ale ileż jeszcze przeszkód ma na swej drodze! Ile niezdarności, nieumiejętności dostosowania się do nowych warunków życia, ile chwiejności i braku świadomej woli.

Tak jakby złe duchy, wysłanniki prawa śmierci, ustawicznie nad nami krążyły, przeszkadzając na każdym kroku, stwarzając uludy istot żywych,

larwy i maski, które wszędzie: w sejmie i w rządzie, w urzędach i instytucjach, w samem łonie społeczeństwa, mącą życie publiczne, stawiają przeszkody narastającemu życiu, przeciwstawiają się potężnej woli, przodującej w narodzie.

Te maski mają różne oblicza, jedno haniebniejsze od drugiego. Paskarstwo i łapownictwo doprowadzają do rozpaczki masy ludu roboczego i inteligencji zawodowej; odziedziczona po zaborcach biurokracja rozsiadła się przy biurkach urzędniczych; geszefciarstwo polityczne stara się każdą wadę skierować na swój młyn partyjny; duch intrygi i nienawiści unosi się w sali sejmowej; ludzie bez czci i wiary dobijają się o wysokie urzędy w Rzeczypospolitej; a w najważniejszych dziś sprawach polityki zewnętrznej, oraz wojny i pokoju starają się brudzić politycy bez zasad wytycznych, którzy dziś obalają odezwę wileńską Naczelnego Wodza, jutro solidaryzują się z nią, dziś chcą aneksji ziem wschodnich, a jutro robią gwałt, z powodu rzekomego imperjalizmu rządu, głoszącego prawo narodów do stanowienia o sobie, a wszystko, byle mącić, byle przeszkadzać, byle zabijać słaby jeszcze prąd życia narodowego.

Polska zmartwychwstała... Nie, zaiste, zmartwychwstaje dopiero! Znajdujemy się w okresie ciężkich zmagani się śmierci i życia, w tym okresie, w którym życie zrozumiało już swoje prawa, nie wyłamało jednak jeszcze wszystkich wiek trumnisk, w które je włożyła niewola.

Ale czuć to i widzieć, że pęd życiowy narasta i potężnieje coraz silniejszą falą. Że larwy i maski śmierci, które w czasie wyborów do sejmu zdołały zafaseynować znaczną część narodu, tracą na swych wpływach; że twarde prawo znużenia i bezwładu staje się niezem wobec cudu wskrzeszenia, który się یشi w naszych oczach.

My, obóz, który stoi pod znakiem 6 sierpnia 1914 roku, patrzymy w przyszłość spokojnie. Pa-

trzyliśmy spokojnie już wtedy, przed sześciu bez mała laty, gdy byliśmy słabi i w społeczeństwie zupełnie samotni. Tembardziej dziś, gdy jest nas legion. Bo wszakże pod znakiem naszym stoi każdy żołnierz naszej wielkiej armji. Bo wszak mamy współpracowników we wszystkich dziedzinach naszego życia narodowego i dziś już obiektywnie stwierdzić umiemy, że ta najtrudniejsza droga, wybrana przez nas, droga przeorywania sumienia polskiego pod zasiew prawa zmartwychwstania, prowadzi nas do upragnionego celu.

Nigdy może sytuacja nie była tak przyszłością brzemienna, jak to jest dziś, w radosny dzień Zmartwychwstania. Polska jest obecnie państwem, od którego zależeć może nie tylko byt Polaków, ale losy ludów sąsiednich. I taka jest potęga cudu wskrzeszenia, że wskrzesza swą obecnością jedynie ludzi do życia nie tylko zmarłych, ale i tych, którzy przez narodzenie duchowe jeszcze nie przeszli. Budzą się Estonja i Łotwa, Białoruś i Ukraina i, mimo widm upiornych, które, jak bezduszne larwy, snują się po mrokach Europy, cud się dokonywa wyraźny. Aby sprostać zadaniom, jakie historia, los, sumienie stawia przed naszym narodem, trzeba przezwyciężyć wiele trudności. Ale przedewszystkiem przezwyciężyć państwo mroku w swoim własnym domu, u siebie. Unicestwić siły złe i szkodliwe, zerwać z siłami wstecznymi, które chciałyby cofnąć dzieło rozwoju i wytężonej pracy do czasów ubiegłych. Obudzić się do końca, strząsnąć resztki śmiertelnych kirów, umieć się zdobyć na własny wysiłek, własny czyn, który potrafi dać świadectwo prawdzie w swoich konsekwencjach najdalszych.

Jeśli to potrafimy,—a wierzymy, że tak będzie, to dzwon Zmartwychwstania wydzwoni nam cud największy, jaki stać się może dla nas na ziemi: zwycięstwo ostateczne prawa życia nad prawem śmierci, wielką, niepodzielną, przodującą światu Polskę!



*
*
*
*Pękły grobowce; przemoc wroga,
Naród wyzwolony z trwóg, rozpacz,
Zwycięskim mieczem chwałę znaczy
Zmartwychwstałego Boga.*

*Święto wydartej grobom duszy:
Bóg zmartwychwstały między nami!*

*Stajem do walki już nie sami,
Grobowce Pań nasz kruszy!*

*Zszarpane, zdarte śmierci pęta,
Zmartwychpowstały Bóg na przedzie
Zwycięskie hufce w radość wiedzie
Wielkanocnego świąta!*

Marja Stattler-Jędrzejewiczowa.

Dookoła sprawy węgierskiej.

II.

Każdy rząd węgierski w chwili obecnej znajduje się będzie w ogromnie trudnym położeniu. Po za trudnościami zewnętrznymi (traktat pokojowy) i wewnętrznymi (rozpaczliwy stan kraju po bolszewizmie i okupacjach) mądre rządy utrudnia nastroj, panujący w kraju, wywołany charakterem Węgrów. Gdy z kilku naszymi politykami mówiłem o sprawie węgierskiej i wskazywałem charakter Węgrów—uśmiechali się. Owszem, nie lekceważyli sobie bynajmniej czynnika „charakteru narodowego“, jako dość ważnego dla tych, którzy chcą rządzić narodem, lecz, pomimo to, uśmiechali się nie przypisując mu takiego, jak ja znaczenia. Rząd węgierski najbardziej rozsądny musi się liczyć z tem, że ma do czynienia z narodem, który niby człowiek gwałtowny czerwienieje, klnie, wali pięścią w stół. Mówi się u nas o szewskiej pasji. Otóż politycznych przywódców węgierskich większych i mniejszych, mniej i bardziej wpływowych, nadających ton krajowi, opanowała pasja węgierska, gorsza niż szewska, w którą u nas wpadają poszczególni skłonni do tego ludzie. Pasja ta nie ujawnia się tak, jak tego pragnęliby zapewne Węgrzy, jedynie dlatego, że są słabi. Siabość państwa, a właściwie w porównaniu z dawnym królestwem węgierskim, państewka węgierskiego, posiadającego armję liczącą siedemdziesiąt tysięcy ludzi i odczuwającą po za tem poważne braki, jest widoczna dla wszystkich i dla niewielu trzeźwo na rzecz patrzących polityków węgierskich. Nie jest przecież widoczna dla tych, którzy opinię węgierską urabiają. Wystarczy przyjrzeć się prasie węgierskiej, a najlepiej wysłuchać tego, co mówią Węgrzy między sobą, w co wierzą i jak się zagospodarowują obecnie, aby się przekonać o tem, że Madjarów nic nie zmieniło, że mamy w dalszym ciągu do czynienia z szowinizmem i uporem węgierskim, oraz „twardą ręką“ węgierską, która może się okazać tak twardą, że aż doznacie ciała węgierskie.

Zresztą: ani słowa! Jeśli się porówna Węgry przedwojenne z obecnymi i jeżeli Węgier pomyśli o swej ojczyźnie i państwie Czeskim, jeżeli zestawi swój kraj pocięty ze zjednoczoną Polską — to wre w nim krew i cierpi duma narodowa. To prawda. To rozumiemy. Ale nie sposób na uczuciach węgierskich w tej chwili budować programu węgierskiego. I, jakkolwiek cenny niezmiernie jest szowinistyczny patryjotyzm dla odrestaurowania państwa Węgierskiego, to jednak nie stanie się to wcześniej zanim Węgrzy nie uświadomią sobie, że czasy przedwojenne nie wrócą, zanim nie znajdzie się polityk

moený, żelazny, który zechciałby, mógłby i umiałby z korzyścią dla swej ojczyzny przeciwstawić się panującej obecnie opinii węgierskiej. Nie można bowiem realnej polityki prowadzić w kraju, gdzie ci, co mu ton nadają w tej chwili, zatykają sobie na wszystko uszy, lub wpadają w pasję węgierską. Z tego powodu Węgrzy cieszą się najfatalniejszą opinią w Europie i u nas. Węgrzy wierzą w Anglię, ludzą się, że w niej mają już cichego sprzymierzeńca, przekonują, jak mogą, Francję, że nie zaliczali się nigdy do jej wrogów, iż ich przymierze z Niemcami, istniejące do ostatniego momentu wojny, do samej klęski niemieckiej zwrócone było nie przeciw Paryżowi, lecz Petrogradowi.

Przy najwyraźniejszym zezwaniu w stronę Niemców, przy uprawianiu szalonej węgierskiej agitacji na Spiszu i Orawie, do której przyłączyli się odrazu Niemcy tamtejsi, przy stanowisku, że Spisz i Orawa raczej Czechom przypaść mają niż Polsce—Węgrzy witają wszędzie owacyjnie Polaków, wiedząc o tem, żeśmy mieli wspólnych królów, śpiewają z głębokim przejęciem „Boże Coś Polskę“ i umieją wymówić po polsku, że Węgier i Polak — to bratanki. Takimi są już Węgrzy, których wojna niczego nie nauczyła. Bardzo być może, że wyda się to komuś przesadą, ale doprawdy, iż z Węgrami-publicystami, Węgrami-politykami, z tymi Węgrami-inteligentnymi, którzy mogą wiele u siebie i zagranicą dla swej ojczyzny zdziałać, nie można wcale mówić, albo mniej więcej w ten sposób, jakiemiś okrzykami. Zaczynamy więc rozmowę.

— Anglja w stosunku do Węgrów...

— Ależ Anglja jest naszym węgierskim sprzymierzeńcem! Pokażę panu numer „Times'a“, gdzie Ralph Kilney pisze, że... A list Hugh'a Richardson'a zna pan?... Powiem panu w zaufaniu, bo przecież pan jest przyjacielem Węgrów, że Anglik X. powiedział w Budapeszcie... Zresztą my się zgodzimy na króla z panującą rodziną angielskiej...

— Francja przecież...

— W tym czasie, gdy się scala Polskę, pozwała się na rozbiór Węgier! Jak może szlachetna Francja postępować tak z nami, którzy mamy tyle zalet moralnych! Nie urodził się jeszcze taki Węgier, któryby taki traktat podpisał. W r. 1871 myśmy protestowali! Żądaliśmy zwrotu Alzacji i Lotaryngji! Teraz tworzą się nam nowe Alzacje i nowe Lotaryngje!

— My jesteśmy na dobrej stopie z Rumunją...

— Precz! Precz! 600 tysięcy Węgrów siedmiogrodzkich... Nas będzie tyle w Rumunji, ile Rumunów! Nasze koleje! Maszyny! Niech nam

oddadzą telefony z miast... Precz! Precz! Precz! (Węgierska pasja).

— Jugosławia!...

— Bagatela! Przeciw nam są tylko te świnio-pasy Serbowie, którzy wojnę wywołali, Kroaci są za nami, Chorwaci za nami. Niech pan się sam przekona.

— Czesi...

— A wy ich nie znacie? Jak i Rumuni walczili raz za koalicję, drugi raz przeciw koalicji. Tym tchórzom od kolebki płaci się za zdradę. Za zdradę! (Węgier jak i Polak b. nie lubi zdrady). Niech pan spojrzy na mapę, na ten potworny kadłub państwa-czechosłowackiego, który się rozleci na kawalki. Ilu tych Czechów jest w ich własnym państwie? A co te bestje wyprawiają u nas na Śląsku? Pryśnie to...

— Pryśnie, bo Słowaczyna...

— Jest, była i będzie węgierska! Korona św. Szczepana... Niech pan pomówi ze Słowakami...

— Albo chcą u was porządnej autonomji... Dość mają madyaryzacji... albo niepodległości.

— Zgodziliśmy się na autonomję. Już ją mają. Już wszyscy są przeciw Czechom.

— A ta partja niepodległościowa, która, o ile wiem...

— Ależ pan nie wie... Korona św. Szczepana... To są fantazje...

— Komu zależy teraz na tworzeniu nowych państweczek? — Nie utrzymają się!...

— Austrija...

— I ona jakiś tam robi sojusz z Czechami. I oni chcą kawalka naszej ziemi. Nie jesteście jeszcze trupem! — Austriacka dyplomacja!

— A wasz stosunek do Niemców?...

W tem miejscu możemy b. wiele mówić. Z węgierskiej strony będą słowa, słowa, słowa. Nie wyraźnego, albo najwyraźniejsze wysłizgiwanie się.

* * *

My wpadamy podobno w zapał, jesteśmy patriotycznie usposobieni i nie wpadamy w skrajność przekonań. Węgrzy są szowinistami, zbiorowiskiem ludzi zaciętych, którzy szybko pędzą z jednego krańca na drugi. Przechodzili natomiar rządy bolszewickie, które w okropny sposób obniżyły węgierski poziom moralny. Teror czerwony zastąpił terror biały, a ten nie przyczynił się bynajmniej do uzdrowienia stosunków węgierskich. Czytaliśmy protest czerwonych o zbrodniach białych. Biali przyznali, że tylko część jest w tem nieprawdy i wyliczają zbrodnie czerwonych.

Ci, co teraz na Węgrzech rządzą, albo zapominają o tem, że mają państwo swe odbudować, lecz nie mścić się, albo też są zupełnie bezsilni. Dla rządu węgierskiego bardziej niebezpieczni są ci biali, którzy bezustannie każdą węgierską mącą, podniecają do najwyższego stopnia upokorzoną du-

mę narodową węgierską, rozpalają namiętności publiczne i budzą niezadowolenie z rządu—niż redaktor pisma socjalistycznego Samogyi z synem i sekretarzem, na których popełniony zamach był zwykłą zbrodnią, która w żadnym państwie nie może ująć bezkarnie. Węgrzy, których nigdy nie po za Węgrami nie obchodzi, pragną teraz, co jest zupełnie zrozumiałe, zainteresować sobą cały świat. Ale, że zawsze stali na tem stanowisku, że wszystko co jest węgierskie (nietylko wino), jest doskonałe, że wszystko, co Węgrzy robią, jest słuszne i mądre nie mogą i nie umieją teraz wzbudzić w Europie sympatji i uznania dla siebie. Co więcej: nawet u nas, gdzie Węgrzy nie mają poważnych przeciwników, nie cieszą się sympatją, ani na prawicy, ani na lewicy.

Rządy obecne na Węgrzech są rządami satysfakcji. Po rządach czerwonej ulicy najpełniejszą satysfakcją cieszy się ulica biała. W porównaniu z obecnym rządem węgierskim, rosyjski rząd sowieców, lub dawny bolszewicki rząd węgierski Beli Kuhna wydają się być o całe niebo bardziej niezależne. Rząd węgierski nie jest zależny od dość możnych czynników, które go zwalczają, lecz od opinji kraju, którą te czynniki urabiają, a to chyba na jedno wychodzi. Po za tem nieliczna, odczuwająca brak karabinów i artylerji armja, przede wszystkim zaś oficerowie ze swą polityką zaciążyli nad rządem i całemi Węgrami. Armja węgierska jest rozpolitykowana do najwyższego stopnia i łatwo sobie można wyobrazić co to jest za polityka oficerów, wychowanych, bądź co bądź, w szkole austriackiej. Niech Węgrzy nie mówią, że to jest napięcie patriotyczne, ożywiające armję i dla niej zdrowe.

Tak nie jest. Oficerowie są wszędzie, do wszystkiego się wtracają, o wielu sprawach decydują. Nie leży to wcale, ani w tradycji walecznej i karnej armji węgierskiej, ani w interesie armji monarchistycznej, jaką chce zostać armja węgierska.

(Juljusz hr. Andrassy dowodzi, że traktat pokojowy nie zawiera klauzuli, któraby zabraniała restauracji Habsburgów. Na tem stanowisku stoi wogóle prasa monarchistyczna).

Nie leży ani w interesie obecnego rządu lub jakiegokolwiek bądź, który po nim przyjdzie, i wogóle nie wyjdzie na korzyść państwa fakt, że oficerowie z umysłów swoich i koszar przenoszą politykę do licznych i najrozmaitszych klubów politycznych. Mylą się stanowczo ci z Węgrów, którzy sądzą, że ich ojczyznę uratuje król w tym czasie, gdy królów w Europie z wielkiem powodzeniem na palcach jednej ręki można policzyć i mylą się ci, którzy z radością stwierdzają, że nad Węgrami wisi dyktatura wojskowa. Dyktator wojskowy ratuje czasami kraj, ale wpędza go w ostateczną ruinę i anarchję, obniża najzupełniej jego — poziom

moralny dyktator: oberleutenant'y, hauptmann'y, a nawet oberst'y. Węgrom jest potrzebny człowiek à la Tisza. Z jego twardą ręką, z jego siłą, z jego przedewszystkiem odwagą cywilną. Wtedy na Węgrzech nie będzie rządziła pani Satysfakcja.

Potrzebny jest Węgrom człowiek à la Tisza, lecz nie nowe wydanie Tiszy — reakcjonisty, Tiszy mocnego człowieka, którego za nos mogła wodzić taka kreatura, jak Czernin, Tiszy, wychowanego na dyplomacji bismarkowskiej i zapatrzonego w swój wzór: Bismarcka. Potrzebny jest Węgrom Tisza powojenny, wyrosły z niedoli, łez i krwi węgierskiej, Tisza, odważny i mądry niepodległościowiec, nie mający po prawicy Niemców, po lewicy przewrotnej Austrii z jej dynastycznymi geszeftami.

Czy takim człowiekiem okaże się obecny naczelnik

węgierski admirał Horthy, trudno przewidzieć. Czas najbliższy to pokaże. Rozsądniejsi z Węgrów wskazują to, że polityka przedwojenna węgierska nie była dalekowidząca, a wojenna, krótkowzroczna. Mają na to wyjaśnienie: sprężgnięcie Węgier z Austrią. Austrii już nie ma. Jeżeli nową czysto węgierską polityką mają być okrzyki wyżej przez nas przytoczone, które wydadzą się komu, niesłusznie, jedynie karykaturą — to dziękujemy! Przez poruszenie w następnym artykule sprawy Słowaczyny i Rusi Przykarpackiej, Spisza i Orawy spróbujemy dać nasze, bynajmniej niepełne, ujęcie sprawy węgierskiej, powtarzając jeszcze raz, że wspólną z nowymi Węgrami granicę uważamy za rzecz dla nas niezbędną, ze względu choćby na Czechów i Rosję.

Marjan Dzik.



Nasze cele oświatowe.

Naród, który utracił swój byt polityczny, którego imię wykreślono ze wszystkich aktów prześwieconej dyplomacji europejskiej i któremu odebrano możliwość objawienia swego dorobku kulturalnego, musiał się z natury rzeczy starać zachować wiadomość swego indywidualno-narodowego istnienia wszelkimi środkami. Został on też w biegu swej kultury często spychany z prostolinijnego kierunku swego rozwoju, a idąc drogą najmniejszego oporu zaszedł często na manowce i przerzucał się z jednej konieczności w drugą. Te znamiona cechują też szczególnie nasze usiłowania i zabiegi ku oświeceniu szerokich mas ludowych w ostatnich lat dziesiątkach najsroźszego ucisku; nie zdołał tego nieregularnego rozwoju dojrzewania narodowo-społeczno-politycznego ludu polskiego powetować swobodniejszy rozwój szkolnictwa galicyjskiego, w którym aż do ostatnich czasów zbyt krańcowo wychowana prawomyślność, tylko wolno świeższemu powiewowi idei postępowej ustępowała. Wszystko to odbija się dość niekorzystnie na przeobrażeniach dni naszych i, jeżeli wielu się zniechęciło do dobra społecznego, któremu się dawniej z zapałem oddawali, to głównie dlatego, że za mało względy powyższe pod uwagę brali i spodziewali się w Polsce Zmartwychstałej błęgiego spokoju, wśród którego by Polska od różnych powołanych i niepowołanych wieszczów jej przyznanej rolę „Chrystusa narodów“ w czyn obróciła i przynajmniej nad Słowiańszczyzną sztandar swego blasku roztoczyła, rozpoczynając tak erę powszechnej szczęśliwości, której wszystkimi dotychczasowymi drogami i środkami osiągnąć nie zdołano. Życie nie postępuje jednak według choćby najgenialniej pomyślanych formułek i reguł i opieranie się na nich jest tak samo niedorzeczne jak wpadanie w pesymizm jeżeli zawiodą. Pesymizm taki można spotkać dzisiaj dość często co do przyszłych losów Polski u ludzi małej duszy i ciasnego horyzontu

umysłowego, u ludzi, którzy gotowi „świat nienawidzić i w puszcze uciekać“, ponieważ nie wszystkie sny kwieciste dojrzewają. Zmienić na lepsze może jednak tylko jedynie szczerą współpracą wszystkich członków narodu, a nie tanie przybieranie poży Kasandry.

Ruch oświatowy na korzyść najszerzych warstw ludności, zapoczątkowany w Europie i Ameryce Północnej, około połowy zeszłego stulecia zastał naród polski w dobie ucisku i prześladowań ze strony wszystkich zaborców. Świetny rozwój życia umysłowego w zaborze pruskim został zniszczony przez reakcję, następującą po próbach rewolucyjnych w okresie lat 46—48. Hasła pracy organicznej, rzucone przez Raczyńskich, Marcinkowskich i innych, dojrzewały rychło pod wrażeniem upadku odruchu wolnościowego. Szczególnie światła postać Marcinkowskiego stanowić będzie zawsze chlubną kartę w smutnej księdze naszej niewoli pruskiej i jego ideał materialnego i kulturalnego pochodzenia wzniosły ludu ma—mutatis mutandis—i dla nas swoje znaczenie. Kontynuatorzy jego nie zdołali jednak zawrzeć w myśl jego czystego i wzniosłego ideału działania, i wkrótce można było spostrzedz dość osobliwe pojmowanie „pracy oświatowej“, która się stała terenem popisu reakcyjno-klerykalnych zbawców, uważających się za główne, lojalne podpory polityki potrójnej lojalności. To też do pieczołowitej cenzury pruskiej dostaliśmy w Wielkopolsce cenzurę własną, która strzegła pilnie prawomyślności i w niemałej części przyczyniła się do tego, że w końcu groziło, iż życie umysłowe i literackie w dzielnicy naszej całkiem zamrze. Pomimo ciągłego powtarzania hasła: Oświata ludu dokona cudu, nie było pojmowanie tej pracy bardzo szczytne. Tendencyjnie zabarwiona historia Polski w postaci dzieł drugo- i trzeciorzędnych podawana, w tonie gawędziarskim nie które wiadomości z historii literatury, i to głównie

biograficzne, z dzieł literatury pięknej Mickiewicz, Sienkiewicz, mniejsze rzeczy Konopnickiej, pozatem pisarze i poeci już coraz bardziej do historii przechodzący, a jako dział główny książki t. z. „dla ludu i młodzieży,” które chyba z oświatą nie mają nic wspólnego, to główny zapas naszych czytelników ludowych i po części osnowy tematów, wygłaszanych wykładów, odczytów i t. d. Niepoślednie miejsce zajmują książki moralizatorskie i rozstrząsające kwestje niby—religijne, książkę jednak, któraby poważnie i w sposób naukowy się tą, dzisiaj dla nas wcale nie obojętną, kwestją zajmowała, jest trudno znaleźć. Brak zupełny dzieł ekonomicznych, socjologicznych, filozoficznych i przyrodniczych jakby chciał wskazywać na to, że dziedziny te powinny dla ludu polskiego pozostać terra incognita. Nie ma to być robienie zarzutów ludziom, którzy się może szczerze starali o oświatę ludu, na co zresztą nie czas teraz i co nie wiele pomóc by nam mogło, ale tylko stwierdzenie, że taki stan rzeczy był zupełnie niewystarczający dla potrzeb duchowych narodu polskiego i tem mniej może nas dzisiaj zadowolić, w chwili, kiedy naszymi losami mamy my i tylko my sami kierować. Dzisiaj powinno nam chodzić o to, by wszystkie siły moralne i intelektualne, będące w głębi ludu, wydostać i z pożytkiem dla dobra Ojczyzny zużyć.

Z powodów ogólnie znanych była nasza praca oświatowa zupełnie niedostateczna i, pomimo, że nasze czytelnie prywatnej inicjatywie tylko swój byt zawdzięczające pod względem materialnym przynajmniej wcale pokazać się przedstawiały, to jednak ani marzyć o tem nie mogliśmy w tej dziedzinie żeby narodom zachodnim choć dorównać. Teraz kiedyśmy wolność odzyskali musi być naszym staraniem zaniedbanie i straty przeszłych lat powetować, przyswoić sobie metody kształcenia przedszkolnego i, jako naród szczerze demokratyczny, nie poprzestawać na tem, co sferom górnym innych narodów wydawało się być dostateczne dla ich mniej uprzywilejowanych ziomeków, ale dążyć do tego, aby nasze instytucje naukowe stanęły na szczycie praktycznie możliwej doskonałości. Czyż nie za daleko idą te marzenia? Z pewnością nie; dziś ani jutro nie zdołamy tego osiągnąć, ale osiągnąć to możemy i powinniśmy.

Nasza najbliższa przyszłość będzie stała pod znakiem ciężkich, nieraz może posady ustroju społecznego wstrząsających, walk społecznych i ekonomicznych w pierwszym rzędzie, ale z pewnością i przekonania i poglądy w religji, literaturze, sztuce i nauce nieraz się wrogo zetną. Tych zmagani się duchów nie potrzebujemy się obawiać, ale, pomni na to, że walka jest matką wszelkich rzeczy, powinniśmy się starać o to, aby była to walka duchów i aby cel jej był szczytny i godny: Ojczyzna a po za nią szersze i dalsze tło ludzkości. Abyśmy jednak, raz siły żywiołowe rozpętawszy, nad niemi zawsze zapanować mogli, a nie ślepij ich naturze ulegli, jest koniecznie potrzebne, aby nie tylko kilku uprzywilejowanych się tem zajmowało, każąc masom ślepo postępować za sobą, ale aby możliwie wielka część narodu udział w tej walce brała i, co ważniejsza, aby ona była należycie do tego przygotowana. Co znaczy, gdy ciemne masy ludu chciałyby rozwiązać skomplikowane kwestje dzisiejszego życia, widzimy w Rosji. Zresztą jest ten

przebieg z mniejszymi lub większymi różnicami wszędzie jednakowy i jedno co myślącemu człowiekowi się narzuca jest: rewolucje i zaburzenia przychodzą i przemijają, a lud nie korzysta z nich nie o ile nie zrozumie istoty tych walk; niezrozumieć zaś może on tylko wtenczas, jeżeli nie zdołał zdobyć pewnego stopnia wykształcenia i pewnego zasobu wiedzy. To umożliwić jest właśnie zadaniem wszelkich instytucji, poświęconych kształceniu pozaszkolnemu, gdyż pomimo wszelkich dobrych chęci i możliwych postępów, urzędowe szkolnictwo w najbliższej i dalszej przyszłości nie będzie się umiało nagiąć do realnych potrzeb mas ludowych, skazanych na staczanie ciągłych walk z niechęcią reakcji i wyzyskiem kapitalizmu.

Nasze czytelnie, uniwersytety ludowe i wszelkie tego rodzaju zakłady będziemy musieli na innych podstawach postawić, rozszerzyć, polepszyć, pomnożyć; nie dlatego, aby wychować tam część ludności w nienawiści klasowej, wtenczas by cała praca szła mimo celu, ale na to, aby umożliwić każdemu dość wszechstronne i gruntowne wykształcenie ogólne i naukowe, zostawiając przy tem indywidualności dość szerokie pole. Szkoła dzisiejsza jest zupełnie niezdolna temu zadaniu podolać, może ona jednak bardzo dobrze przygotować grunt do takiego rozwoju kultury umysłowej, a na wykłady uniwersyteckie będzie i nadal tylko mały ułamek ogólnej ludności mógł uczęszczać.

Zadanie tu wytknięte nie jest ani lekkie, ani da się też przeprowadzić dziś na jutro. Wymaga ono przede wszystkim zrozumienia doniosłości tej sprawy ze stron szerokich mas ludowych i ze stron władz. Bo aczkolwiek bardzo pożądaną jest, aby cały ten ruch nosił charakter społeczny i spółdzielczy, to jednak mogą i muszą młodzi tutaj wiele pomagać. Biblioteki, które z małemi chlubnymi wyjątkami wymaganiom dnia dzisiejszego wcale nie odpowiadają, będą musiały, z niemałym nakładem środków materialnych, być zupełnie zreformowane i uzupełnione. Wszelkie względy t. z. dobrze myślących ludzi na moralność publiczną muszą upaść. Jedyne względy, aby były w czytelnii dobre, pierwszorzędne i potrzebom czytelników odpowiadające książki; a dobre książki jeszcze nigdy złego wpływu nie wywierały. Pod względem formy zewnętrznej są wielkie zmiany konieczne. Podczas gdy mamy dość obszerne i liczne kawiarnie w każdym miasteczku, nasze czytelnie mieszczą się po części w dziurach i kątach, jakby dla odstraszania. Technika bibliotekarska jest po części rozczulająco prymitywna. Zarząd tych czytelnii tylko za często grzeszy jednostronnością. Musi się jednak publiczność głębiej tą sprawą przejąć, a uczyni ona to z pewnością jeżeli czytelnia otrzyma pokażniejszą szatę zewnętrzną i jeżeli prasa traktować będzie tę sprawę bez uprzedzenia. Najlepszy lokal w dobrem położeniu z czytelnią publiczną i, o ile możliwości, z salą do wykładów, to przynajmniej trzeba by żądać dla każdego średniego miasta. Z pewnością podaży tam chętniej robotnik wieczorem niżeli do zakopconej knajpy lub do kawiarni. O to by się mogły władze postarać, aby czytelnie te były tak urządzone, żeby był w nich pobyt przyjemny, a nie jak w naszych ogniskach żołnierskich.

(D. n.)

Dwa głosy rosyjskie.

Są momenty w dziejach narodu tak tragiczne, że naród ów wpada w rozpacz i apatię, a jednostki o wybitnie rozwiniętym uczuciu patriotycznym miotają się na wsze strony — daremnie wyglądając ratunku i zmiłowania u sąsiadów lub u niedawnych jeszcze przyjaciół.

Moment taki przeżywała Polska przed laty 125-ciu—obecnie zaś przeżywa go Rosja.

Jednak, gdy my broniliśmy swej niezależności przed trzema potężnymi sąsiadami, mając w organizmie swym chorobę, która dałaby się wyleczyć, gdyby nie wróg zewnętrzny, Rosja szuka ratunku przedewszystkiem przeciw bolszewizmowi, jako strasznej chorobie wewnętrznej, równocześnie zadając sobie bolesne rany nazewnątrz przez działania i programy różnych jenerałów, co, pragnąc ojczyznę swą ratować, tym dotkliwsze sprawiają jej bóle.—Jeżeli w dziejach zechcemy dojrzeć jakąś ideę sprawiedliwości i odpowiedzialności moralnej narodów za swe czyny — musimy zauważyć, że Rosja właśnie stanęła przed sądem sumienia historii, że nieubлагana Ananke karać poczyną za przewinienia, za rozbójniczą politykę, za zabobrozość, za wyladowanie energii narodowej nie w kierunku doskonalenia się wewnętrznego—lecz na drodze zbrodni i podbijania narodu, co przed siłą brutalną chwilowo uledez musiał.

Historja ma jednak trybunał, ma karę... Historja żąda odpowiedzialności...

I w momencie tak znamienym dla odradzającej się Polski, zarówno jak i dla ukrzyżowanej obecnie Rosji—przybywa do Warszawy, serca Polski, wybitny pisarz rosyjski, co ukochał swą ojczyznę miłością prawdziwą, niepozwalającą mu jednak zamknąć oczu na przewinienia, na zbrodnię w stosunku do Polski.

I pisarz ów woła, że Rosja na krzyżu ujrzała prawdę, że nie może być mowy o dalszym nieporozumieniu między dwoma narodami...

Wskazuje, że Nowa Polska jest z Mickiewicza, a Mickiewicz—to bojownik wolności. Przypomina, że testament twórcy nowej, odrodzonej Polski żąda od narodu walki z tyranstwem.

A więc, wobec rozpanoszenia się tego tyranstwa w Rosji—czyż Polacy, naród rycerski, mogą patrzeć spokojnie na to, co się tam dzieje? Czyż zechcą zawierać pokój z tyranami, oni, rycerze wolności, gdy sami wolność zyskali?

Tak (chciałoby się wierzyć) woła rozum i serce Rosji przez usta Dymitra Mereżkowskiego.

Jednocześnie prawie na naszą stronę, ku wrogiej do niedawna Polsce, pod jej skrzydła opiekuńcze ucieka się dość liczny oddział rozbitych wojsk rosyjskich. Oddaje się jej jenerał Bredow z ośmioma tysiącami żołnierzy. Mereżkowski—gdybyż tak było w istocie — rzecznik inteligencji rosyjskiej i Bredow, przedstawiciel sił zbrojnych, równocześnie zmierzają ku Polsce, w niej widząc źródło ratunku dla swej ojczyzny.

Gdyby ludzie ci zechcieli się porozumieć i wytworzyć wreszcie modus vivendi, gdyby zechcieli dać początek nowemu prądowi wśród emigracji rosyjskiej, prądowi, który na obecne czasy

i na dalszą przyszłość będzie jedynym logicznym wnioskiem z doświadczeń i przeżyć, jakie spotkały zrozpaczoną już anty-bolszewicką Rosję.

Jednak, wobec działalności tej emigracji na zachodzie, zarówno jak i stanu umysłów na południu Rosji, powyższe projekty należy uznać, niestety, za marzenia. Ale, ponieważ w każdym prawie marzeniu jest pewna doza rzeczywistości, która z biegiem czasu da się wcielić w życie, nie trzeba przeto odrazu zamykać wszelkich dróg. Nie nie tracimy, jeżeli pozwolimy sobie w pewnych ramach na snucie różowych myśli.

A więc—gdyby myśl Dymitra Mereżkowskiego znalazła żyzną glebę pośród tej części rosyjskiego społeczeństwa, która obecnie gości w Polsce, lub też szuka jeszcze pomocy na zachodzie; gdyby myśl ta miała tyle mocy, aby mogła przekonać wreszcie Rosjan, przodujących emigracji, że historja już stwierdziła konieczność przesunięcia się granicy rosyjskiej daleko na wschód, ku jej etnograficznej linii, wówczas marzenia pisarza i, powiedzmy szczerze, nasze, miałyby grunt realny, miałyby możność urzeczywistnienia się.

Rosja po ukrzyżowaniu swym—przejrzała— a więc dojrzała i ideę Polski i jej duszę słowiańską a bratnią—wyrzeka się przeto zaborów na zachodzie, wyrzeka się nie na papierze jedynie, lecz w świadomości narodu rosyjskiego.

Wówczas cóż stać może na przeszkodzie do zgody i do sojuszu, nawet wobec parcia nawały germańskiej na wschód, wobec możliwości niespodzianek ze strony „przyjaciół” obopólnych?

Niestety! Chociaż nie chcielibyśmy by marzenia powyższe zostały tylko marzeniami, boć nie naszym jest zdanie: „Point de réverie”, jednak w tej chwili nie jesteśmy dojrzałym, coby świadczyło, że słowa Dymitra Mereżkowskiego nie są głosem odosobnionym; że czyn jenerała Bredowa nie jest czynem przypadku jedynie, czynem, co może mieć dalsze rozwinięcie.

Boć—gdy wyrzemy poza granice Polski, gdy sięgniemy dalej na zachód, ku Pradze czeskiej—cóż nam się rzuci przedewszystkiem w oczy?

Fala emigracji rosyjskiej szeroko rozlała się po Europie. Nie będziemy w tej chwili mówili o działalności tej emigracji w Berlinie, o uczestnictwie oficerów rosyjskich w zamachu Kappa...

Nie będziemy mówili również o działalności wybitnych mężów rosyjskich w Paryżu, Londynie i t. d. W tej chwili interesuje nas działalność emigracji rosyjskich wśród Słowian, szczególnie wśród Czechów, z którymi obecnie jesteśmy w naprężonych stosunkach, skutkiem akcji ich na Śląsku Cieszyńskim.

Leży przed nami gazeta rosyjska, wydawana w Pradze, p. n. „Ruskoje Dielo”. Czytając wstępny artykuł w tym piśmie z dn. 20 marca r. b. dochodzimy do przekonania, że organ ten nie jest rzecznikiem wyraźnie czarnosecinnej polityki, gdyż potępia program np. jenerała Wrangla na Krymie, który głosi: 1) cała władza—carowi, 2) wszystka ziemia—chłopu, 3) sojusz z Niemcami i t. d. Jest

to więc pismo ludzi, stojących bliżej środka, t. j. kadetów.

Posłuchajmy—cóż mówią ci przedstawiciele inteligencji zakordonowej rosyjskiej w artykule, zatytułowanym: „Polskie dzieła” (sprawy polskie). Jakże daleki, jakże odmienny jest ton tego artykułu od przemówień p. Mereżkowskiego, ileż w nim jadu i nienawiści, ile chęci odwetu i zemsty!

A więc, tak zaczyna autor: „Jeszcze Polska nie zginęła—póki my żyjemy”. Temi słowami rozpoczyna się hymn polski, rozlegający się obecnie w zajętych przez wojska polskie miejscowościach. Upojeni zwycięstwami, dumnie spoglądając wokół—śpiewają razem z orkiestrą swą zwycięską pieśń— a nieszczęśliwi obywatele z ciężkim uczuciem słuchają tonów mazurka i myślą: „Czyżby to tak na długo? Nie daj „Hospodi”.

Dalej, ironizując, autor powiada, że wojująca, szowinistyczna Polska jeszcze nie zginęła—jeszcze nie zdążyła dojść do swych granic „od morza do morza”—ale wcześniej czy później Polska zginąć musi.

Jako przyczynę podaje się nieumiejętność zaskarbiania sobie sympatii potężnych mocarstw, chwilowo jedynie osłabionych, kolosów: Rosji i Niemiec.

Względem tych państw Polska postępuje tak, że oprócz nienawiści — nie nie zyskuje. I to ją właśnie skazuje na zagładę.

Następnie opowiada autor o aresztach, na jakie są narażeni działacze rosyjscy, o polonizacji rosyjskich miejscowości, o żandarmach co przerośli zdolnościami żandarmów Plewego, o obozach dla internowanych.

Wreszcie wybujała fantazja i nienawiść ku Polsce — każą mówić mu o niewoli ludności rosyjskiej, którą zmusza się do rozmowy w języku polskim; o zmazywaniu napisów w języku rosyjskim i o tej nienawiści, jaką przenika się ludność miejscowa do wszystkiego co polskie...

Zatrzymując się pokrótce nad stanem wewnętrznym Polski i dochodząc do przekonania, że stan ten jest w stadium nadzwyczaj krytycznym, gdyż brak Polsce produktów nawet pierwszej potrzeby — jak chleba i kartofli, co wywołuje wśród ludności silne rozdrażnienie — przechodzi autor do

ententy, prowokując ją, by zmieniła swe stanowisko względem Polski. Wtedy Polska, zdaniem autora, wobec stanu waluty i długów państwowych, wobec odmowy dostarczania produktów spożywczych i możliwości zderzenia się z jednym z sąsiadujących z nią „gigantów” — upaść musi.

Opisując zaś patriotyzm Polaków, którym się haszyszują i upajają — twierdzi, że patriotyzm nasz niszczy w nas poczucie miary, taktu, perspektywy, każe zapominać o... rozrachunku.

Jako przykład, który ma dowodnie zilustrować twierdzenia powyższe — podaje autor dzieła Sienkiewicza, nazywając je — ordynarnymi obrazami o treści wojenno-historycznej.

A więc, kończy autor, jeżeli Polacy dzisiejsi nie wyrzekną się swego ekstatycznego patriotyzmu i swej polityki na wyższą skalę — „Polska zginie, naprzekór pieśni, jeszcze podczas ich życia”.

Zestawmy teraz przytoczoną wyżej treść artykułu z przemówieniem Dymitra Mereżkowskiego.— Jakaż rażąca sprzeczność uczuć!

Uprzypomnijmy sobie wreszcie to, co przewidział generał Bredow podczas wywiadu z nim przedstawiciela jednego z pism polskich: „Jestem tylko żołnierzem, polityką się nie zajmuję”.

I pozatym nic—prócz powoływania się na Denikina...

A pozatym wszystkim jakże samotnie brzmią słowa wielkiego pisarza! Cóż znaczy głos jeden — bez oddźwięku, bez echa?

Oczywiście głos z Pragi jest dla nas, niestety, materialem bardziej realnym — niż głos Mereżkowskiego, gdyż pierwszy jest odzwierciedleniem stosunku do nas szerokich warstw społeczeństwa rosyjskiego, a drugi tylko tym prognostykiem przejrzenia, któremu życzyć jedynie należy — by jaknajprędzej rozwinął się i zdobył grunt realny.

My zaś, cośmy dzięki wojnie — idealizm swój pogłębili, cośmy stęzeli w nim — my nigdy go nie odrzucimy, bo wrósł w nasz organizm, stał się ważnym kierunkiem naszej myśli.

I nie naszym jest zdanie „Point de rêverie”. A więc czekajmy i nie traćmy nadziei!

Marjan Uzd.





ZOŁNIERZ POLSKI

Śmierć pułkownika Barty.

Wśród masy różnokolorowego wojska, podczas cofania się wojsk sprzymierzonych z Odesy, 4-ta dywizja strzelców gen. Żeligowskiego okryła nową chwałą oręż polski.

Dywizja gen. Żeligowskiego, wchodząc w skład wojsk koalicyjnych na południu Rosji, w momencie wycofywania się za Dniestr tych wojsk, miała za zadanie osłaniać tyły armii sprzymierzonych, a więc: dywizji greckich, francuskich i kolonjalnych (Sene-galczyków).

Czyli, że dywizja gen. Żeligowskiego musiała przyjąć na siebie cały ciężar napadu naprędce zorganizowanych band bolszewickich.

W dniu wymarszu, t. j. 5-go kwietnia 1919 r. poszczególne oddziały nasze były napadane i musiały się już dosłownie przebijać przez miasto.

W takiej sytuacji była artylerja.

Około godz. 5 m. 30 zrana przebił się przez miasto sztab dywizjonu i bateria oficerska. Na czele oddziału stał nieodżałowany płk. Barta, który w najgroźniejszych chwilach walczył jak żołnierz z karabinem w ręku.

Pułkownik Barta zdążył ku t. zw. „Czumnej Górze“, strzeżonej przez oficerów instruktorskiej szkoły oficerskiej, która — wobec odmarszu pułków piechoty — stanowiła wraz z legją rycerską osłonę tyłów dywizji.

Z niecierpliwością czekaliśmy przybycia reszty oddziałów, gdyż zbliżała się godzina 8 rano, a każdej chwili mogła zostać sprowokowana walka, która mogła odciąć od nas oddziały, pozostające jeszcze w mieście.

Wreszcie jednak płk. Barta przybył szczęśliwie do „Czumnej Góry“, gdzie stała już — oprócz wymienionych kompanii piechoty — 1-sza bateria i oddział łączności djonu.

O godz. 8 min. 30 bateria oficerska i I pluton 1 baterji wyruszyły z koszar Ratnera w kierunku na „Bolszaj Fontan“. Drugi zaś pluton z dowódcą plut.-por. Protasiewiczem, a bezpośrednim dowództwem kpt. Alikowa (dowódcy baterji) pozostał wraz z wymienioną piechotą w arjergardzie i miał stanąć na „Czumce“.

To okazało się po dokonanych wywiadzie niemożliwe, gdyż góra miała jeden tylko wjazd od

strony miasta, czyli oddziałów bolszewickich, a żadnej drogi do odwrotu. Pluton stanął więc u wylotu ulic Wodoprowodnej i Staroportofrankowskiej, wystawwszy w kierunku ulic tych po jednym działem. Przy plutonie (1 baterji) pozostał płk. Barta i oddział łączności. Na tej pozycji oddział pozostawał do godz. 10 min. 15, ostrzeliwany rzadkim ogniem karabinowym. Sytuacja była niemiła, gdyż strzelano z domów, z okien i t. p. To też z ulgą przyjęto rozkaz dalszego cofania się, mianowicie w kierunku na „Bolszaj Fontan“. Oddziałem dowodził bezpośrednio płk. Barta.

Gdy szpicą, złożoną z oficera i 4 konnych wywiadowców, zwrótnała się z murem gmachu więziennego, w którym ukryli się bolszewicy, uzbrojeni w karabiny maszynowe, rozpoczął się piekielny ogień, tem przykrzejszy, że z odległości 20 kroków. Nie było rady. Na komendę: „Z koni! Odeczep!“ pierwsze działło zajęło pozycję bojową.

Drugie działło zostało, niestety, unieruchomione, gdyż konie, spłoszone nagłym ogniem, złamały dyszel i działło nie można było odprzodkować. Płoszące się konie poraz drugi popsuły szyki. Pod wpływem bezustannego ognia z tak bliskiej odległości konie raptownie zawróciły i poniosły galopem jedyny jaszczek z pociskami w kierunku miasta, tak, że jezdni nie byli w stanie ich wstrzymać. Nie tracąc ani chwili, obsługa rozpoczęła ogień karabinowy, który pozwolił sprowadzić pociski do działła.

Zbawienne rozpoczęcie ognia działowego było równocześnie momentem tragicznym dla pułkownika Barty. Pułkownik stał właśnie z karabinem w ręku na rogu muru więziennego, biorąc w walce ciągle czynny udział już to jako prosty strzelec, już to jako dowódca.

Lecz oto na rozkaz d-cy por. Protasiewicz rozpoczął osobiście ogień kartaczowy.

Pułkownik Barta, stojący przed ziejącą ogniem lufą własnej armaty, został zmuszony wycofać się w tył do drugiego działła, przy którym był d-ca baterji.

Nie dochodząc do działła, upadł, ugodzony kulą bolszewicką w brzuch.

Bezlitosna, ślepa kula jakgdyby wybrała pułkownika. W tej walce, mimo że sytuacja była okropna, nikt więcej nie zginął.

Pułkownik Barta natychmiast przeniesiony został do mieszkania pewnego popa.

Natomiast sytuacja ogólna stawała się coraz groźniejsza. Operowało tylko jedno działo. W międzyczasie obsługa skierowała ogień karabinowy do dziur, wyrwanych przez armatę w murze. Nie widząc wyjścia innego, d-ca baterji kapitan Alikow oddał dowództwo por. Protasiewiczowi, a sam udał się konno w poszukiwaniu oddziału piechoty, który istotnie po chwili sprowadził. Na szczęście wszyscy jednakowo dzielnie się spisywali; ppor. Szczekowski przybywa na pomoc z plutonem strzelców senegalskich, zaopatrzonych w karabiny maszynowe.

Uśmiech ukazał się na twarzach żołnierzy, którym już w owej chwili zabrakło naboję karabinowych, a i ogień armatni stawał się mniej skuteczny, gdyż z braku pocisków szrapnele poszły w ruch. Zwolnieni od obowiązków strzeleckich, żołnierze w jednej chwili poprawili dyszel pierwszej armaty. To zmusiło przeciwnika przycichnąć o tyle, że można było zaprzęgać i, nie nie zostawiając przeciwnikowi, wyruszyć dla połączenia się z oddziałem przez pole wyścigowe, pod rzadkim już ogniem karabinowym, kierowanym z gmachu więziennego i z za pomników cmentarnych.

Równocześnie niemal maszerowały ulicami oficerskie kompanje piechoty. Gdy już były w drodze, gdy już można się było przekonać, że oddziały wszystkie w porządku wychodzą z miasta, ukazał się w samochodzie gen. Żeligowski z szefem sztabu ppułkownikiem Bobickim i dowódcą piechoty pułkownikiem Małachowskim, drugim zaś jechali oficerowie sztabu. Było to w chwili, gdy oficerska szkoła instruktorska ostrzeliwana była ogniem karabinów maszynowych.

Tak więc oddziały wyszły cało z tej ciężkiej sytuacji.

Pozostał jednak, niestety, najdzielniejszy z te-

go oddziału walecznych, bo pułkownik Barta, dowódca dywizjonu, który, mogąc bezpiecznie maszerować z baterją, wycofaną przedwcześnie i bez walki, pozostał przy ostatniej armacie swojej, by osobiście kierować ogniem i ze swojego karabinu zrzucać z muru napastników, którzy, nie zaczepiani przez nas, napadli z za węgla w chwili spokojnego wymarszu dywizji.

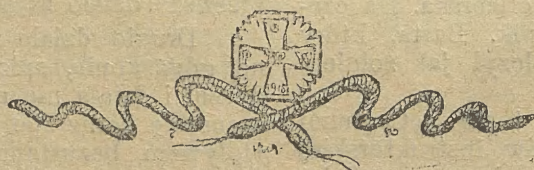
Ś. p. pułkownik Barta na Kubaniu jeszcze rozpoczął formowanie dywizjonu. Było to jego dziecie. Będąc niemal jedynym z oficerów, znającym komendę i regulaminy polskie, osobiście kierował wyszkoleniem oficerów i żołnierzy. Stworzył w rezultacie baterje, które w składzie 4-ej dywizji strzelców, a potem 10-ej dywizji piechoty do Zbrucza pędziły hajdamaków w Galicji Wschodniej. Dał z artyleryjskiej szkoły oficerskiej, którą kierował, kilkuset artylerzystów armji gen. Hallera, która podówczas była jeszcze we Francji, i inspektoratowi artylerji w Warszawie.

Samemu tylko pułkownikowi los nie pozwolił nadal wstawiać oręża polskiego i imienia swego. Nie pozwolił mu los przybyć do kraju na czele oddziału wojskowego, stworzonego na emigracji. A marzył o tem od pierwszej chwili przybycia do Rosji, gdyż nie chciał, nie stworzywszy niczego, bezbronny wracać do kraju. Niejednokrotnie podkreślał to w rozmowach.

Nie bacząc na usilne namowy, nie pozwolił się pułkownik Barta kolegom swoim wywieźć wraz z oddziałem. Świadomy śmiertelności rany, kazał się zostawić w domu popa i zmarł już po wymarszu dywizji. Zwłokami ś. p. pułkownika Barty zaopiekowała się „Liga Kobiet Polek w Odesie”. Pochowano pułkownika bez honorów wojskowych, niemal pokryjomu, gdyż w obawie przed zemstą bolszewików i w nadziei, że zwłoki kiedyś zostaną sprowadzone do kraju i tutaj oddany im będzie należny hołd.

„Wiarus“.

M. B.



Kto żyć chce — musi umieć ginąć.

II.

Chwila wytchnienia! Porządkowanie oddziałów, zbieranie ludzi, rozdzielanie komend.

Połowy żołnierzy niema, dwu trzecich oficerów.

Śław, Dunin, Bończa, Worski, Busse zostali tam na zawsze...

Sierżantów moc, po dwóch, po trzech z kompanji brak...

Już noc zapadła, cicha, letnia, gdym na patrol poszedł...

Po godzinie wracam z meldunkiem i wchodzę między żołnierzy, do swego plutonu.

Kogo niema?...

Tego... tego... tego... Badyła widzieli jak ranny na górze leżał, Zmijewskiego, jak skrwawiony w bagnie się ratował... inni zgoła przepadli...

Jedenastu tegiej wiary brak w plutonie, na ogólną ilość trzydziestu...

I tak szczęśliwie!... pocieszają się chłopcy. W niektórych plutonach po 8, 10 pozostało...

Przeszła noc. — — —

Wstał szary świt 5 lipca. Szept się przenosi przez okopy, że dwie kompanje Wyrwy i dwie z 6

pułku zaraz do kontrataku ruszą... Prowadzą z drugiego baonu Tunguz i Konieczny — porucznicy...

Świt już pobili pola i łąki, jak ruszył kontratak pod górę... Ruszył śmiało, mocno, nieustępliwie...

Ruszył, doszedł, dopadł do okopów i nie wrócił...

Przyjęła tę garstkę, cztery kompanje — masę tłumy z urągłym wołaniem...

A gdy się z krzykiem wiara na nich rzuciła, otoczono i wybito omal, że nie do nogi...

Mało kto wrócił, ale ci co poumierali, bili się twardo...

Po dziesięć moskiewskich trupów na jednego z nich wypadło...

Został na górze Tunguz porucznik i Konieczny Włodzimierz, przez żołnierzy swych uwielbiany, porucznik... Zostali inni...

Rozjaśnił się dzień. Wysoko się słońce podniosło, gdy na miałkie, w piachu, po pas zaledwie skopane okopy w lasu zwałać się zaczęły z przeraźliwym gwizdem osiemnastki i cięższe granaty.. Rozjuszyły się wizgiem przerażającym i masztowe, wielkie sosny ponad wierzchołki drzew wysoko, wysoko, wyrzucać zaczęły... Obiekty las obłokami potężnymi, wydmuchami wielkimi piasku, ziemi i dymu, żelazem i ogniem go zarzuciły...

Rozjęczały się w powietrzu ostre odłamki...

Na krwawą miazgę rozdzierały czoła, nurzały się we krwi...

Legł Hajec porucznik, poległo wielu, wielu innych bitnych, starych żołnierzy, co Polskę zaklętą nieśli w karabinie...

Do 6-ej wieczór, drugi już dzień, w upale i piekielnym ogniu przetrwał 5-ty pułk...

Pod wieczór krętymi gankami, okopami długimi wycofał się do „Lasku zaporskiego”.

Goniły za nim pierzaste, białe chmurki szrapneli..

Zostawił pułk „Lasek Polski“, gdzie Komendant tak często przyjmował, gdzie Bandrowskiego biłskupa gościł...

Zostawił kapliczkę przez granat wywaloną, omentarz pokaleczony srodze i krwi świeżej moc zostawił...

Doszliśmy do „Saperskiego lasu“, do taborów...

Krótki postój, krótki odpoczynek... bo już kule ostrymi świstami docierają do nas.

Z „Lasku polskiego“ idzie wielkie, rozgłośnie „hurra”!

Cofamy się dalej! Na prawo znów, jak wczoraj, moskale wdarli się bezkarnie, spychając Austrjaków...

Na gwałt się tabory spakowały. Kompanja nasza, 4-ta, zajmuje brzeg „Saperskiego lasu”,

Z szablą w dłoni ostatni cofa się Berbecki. Obok major Wyrwa w pelerynie rozwianej z krzykiem rozdziela odcinki kompanjom, co zostały.

Odwrot osłaniają baony Fleszara.

Cofamy się dalej. Schodami do Garbachu,

a potem, gdy już noc z 5-go na 6-ty lipca zapadła — na groblę, na Legjonowo, Nową Rarańczę...

W nowej Rarańczy przespanych kilka godzin i 6 go jeszcze w nocy dalszy odwrót. Na Nowy Jastków, na Końskoje...

6-go wieczorem stanęliśmy na polanie wśród lasu Końskoje.

A że Komendant obok stał, chcąc obejrzeć tak okrutnie zmordowanych i wyszczerbionych piętaków, więc wiara, że to chciała pokazać, jako nie całkiem jeszcze opadła z sił, że nie dla niej te straty bolesne i okrutne, skoro Komendant tego chciał, huknęła mocno ogromnie, choć dziwnie się gardło ścisnęło, strzelecką pieśń: „Hej strzelcy wraz”!...

Uśmiech rozjaśnił twarz Komendanta, zaćmiło wzrok rozrzewnienie...

Niedługi był postój: Alarm! Ruszamy dalej Odwrót na Stochód!

Ruszamy pierwsi. Za nami 6-ty bataljon Kukiela, rozradowany i rozgwarzony, bo strat miał mało, a na grobli Garbachu nasiekl, nawystrzelał moskiewskiej dragonji 11 szwadronów...

Karabinami maszynowymi wymietli równiutko szwadrony, co ławą szły, jak piorun, szybko na okopy

Maszerujemy całą noc... Kolumna aż chwilami postępuje, bo już z sił całkiem wyczerpana, a tu chwilami marsz w bieg przechodzi.

Co kilka klm. odpoczynek krótki, pośpieszny. jakby kradziony i znowuż dalej!

Wali się żołnierz na ziemię bez tchu w piersiach, i w moment usypia...

Las mileży... czasem gdzieś daleko gruchnie strzał — za nami łuny pożarów. To Legjonowo, Nowy Jastków, Nowa Rarańcza.

Noc całą marsz bez wytchnienia dłuższego... Aż w momencie pewnym stajemy i czekamy. Położyła się wiara na drodze, pozwalala się jak kłody. Śpi...

Wracamy. Kolumna zawraca. Na przedzie sztab. — Ppułkownik żywo coś z Wyrwą rozprawia. Koni przy nich, ordynansów i adjutantów chmara cała...

Idą wszyscy na przedzie...

Maszerujemy tak ze sztabem na przedzie kilkanaście minut. Zmordowanie już takie ostatnie na żołnierza przyszło, że śpi — maszerując.

Świt... Bieleją szczyty drzew, szarzeje noc...

W chwili pewnej przeleciał jakby wiew przez drogę, przez kolumny... z przodu dochodzi jakiś głos...

Ocknął się nieco żołnierz.

Nagle z szarzyzny nocy, z głębi leśnej drogi jak piorun nagła w twarz uderzyła salwa jedna... druga!..

Rozniosły się błyski z łuf na wszystkie strony, zakotłowała, stłamsiła się kolumna.

Gnać na oślep zaczęły konie sztabowe, w bok na polanę.

Iskrami tłuc po kamieniach poczęły kule...

Krzyk, wrzawa, wołania...

Żołnierz spał prawie, gdy mu w oczy plunięto ogniem...

Za moment już tyraljera jedna z drugą maszerują wprzód...

Z krzykiem oficerowie gromadzą oddziały...

Z wrzawy, z jęków, z krzyków dochodził jakiś bolesny głos, wołanie: Tam na przodzie... pułkownik ranny... major zabity...

Skoczył ppor. Koc z z Drożdziem i Papierskim. Pułkownika rannego dźwigali już żołnierze na celcie, a do majora Wyrwy dopadł ppor. Koc...

Zastał już trupa... Z wielkiej, otwartej rany na piersi waliła krew... Serce ucichło...

Zamknął ppor. oczy majorowi, ziemią je przysypał... ostatnie szczytki—papiery zabrał ze sobą — i za kolumną ruszył.

Kolumna już w lewo się rozwinęła i linjami tyralierskimi maszeruje przez polanę. Prowadzi kap. Narbutt.

Z plutonem, z ppor. Kocem odesłano mnie do rannego ppułkownika.

Orszak... Zmieniając się co chwila, po sześciu dźwigamy na celcie ppułkownika...

Przytomności nie stracił... Ma tyle jeszcze siły, że opowiada o przebiegu zasadzki...

— Byleby tylko Narbutt do młyna na Czerewasze doszedł — kończy pułkownik

Ciężki, okrutny żal wpłynął w piersi. Bez nadziei, z zupełną rezygnacją maszeruje pułk.

Odgania żołnierz myśl natrętą.

Bo przecież został tam na polanie Wyrwa... Major Wyrwa, śmiech i radość żołnierskiego życia, duma Brygady, chwala 4 bataljonu z pod Bud, Krzywopłotów.

A tu na celcie komendant „Zuchowatych“... ppułkownik Berbecki.

Nie myśleć... nie myśleć...

Przeleciał wreszcie w tentencie rozgłosnym szwadron z Beliną na czele. Pognali w las po majora.

Wstąpiła nadzieja. Dojdziemy wreszcie dokądś...

Zajechał po chwili wóz, wiara głęboko odetchnęła. Ppułkownik już umieszczony wygodnie — opuszcza pułk.

Doszliśmy do młyna na Czerewasze. Łąki wielkie, aleja, chałup nieco, grobla szeroka...

Stoi Komendant przed chałupą na drodze.

Gęstwą brwi przykrył oczy, że jeno czujesz na sobie wodzowy wzrok...

Ożyła znagła kolumna. Wiara podnosi hardo głowę, mocno bije krok. Niezmęczone przecież...

— No, cóż chłopcy — rzuca Komendant pytanie — barzoście zmordowani?..

— Ech, nie!.. — chełpliwie zaprzeczył któryś z nas — tak sobie, zlekka!

Uśmiechnął się Komendant.

A była w tym uśmiechu podzięką i myśl — troska, że przecież dość już tej krwi...

Zrodziła się w tym uśmiechu myśl o czynach wielkich, krokach doniosłych.

Ważyla się wielka myśl w uśmiechu smutnym Komendanta. — —

Czekał nas dnia tego jeszcze wysiłek wielki. Trza było dojść do Stochodu. Doszliśmy... Na wielkie łąki, moczary, bagna, odnogi rzeki...

Weszliśmy na przygotowane pozycje, w których dalej, mieliśmy świadczyć, że kto żyć chce — musi umieć ginąć!..

Wacław Lipiński.

PYTANIA NA CZASIE.

Czy ludność powinna oddawać ukłon przed sztandarem?

Ob. A. C. W państwach zachodnio-europejskich, gdy wojsko maszeruje ze sztandarem pułkowym, wtedy wojskowi salutują, a ludność cywilna zdejmując czapki, oddając hołd sztandarom. Ludność polska, pod presją uchylała czapki przed sztandarami państw zaborezych, a nawet, gdy szedł pochód P. P. S. ze sztandarem, wtedy, w obawie przed represjami ze strony manifestantów, oddawali, chcąc niechcąc, hołd sztandarom.

Gdy wojsko polskie maszeruje ze sztandarem, wtedy nikt nie pomyśli nawet, że należy uchylić czapki i hołd oddać sztandarowi, który jest godłem Państwa Polskiego.

Zamiast kwiatów w dniu ślubu rotmistrza Karskiego na święcone dla żołnierza Mk. 40, M. Gohoski.

Redaktor: ADAM SKWARCZYŃSKI.

Adres Redakcji i Administracji: Szpitalna 12.

Warunki przedpłaty: W Warszawie z odnoszeniem do domu kwartalnie . . . Mk. 25.—

na prowincji pod opaską kwartalnie Mk. 28.—

Prenumeratę przyjmują księgarnie, biura dzienników i ogłoszeń.